Rozmaitości

Dnia 20. Lutego Nr 8. 1836 Roku.

CHATEAUBRIAND O SZEKSPIRZE.

Wyimek z jego rozprawy o literaturze angielskiéj, z dzieła jeszcze niedrukowanego.

Zgłębiając dzieła Szekspira i wnosząc z nich o jego właściwym sposobie myślenia, możnaby utrzymywać, iż ten głęboki malarz tylu ponurych obrazów, musiał być lekkomyślnym i wszystko do siebie ściągającym człowiekiem; jakoż zaiste, znajdował on dosyć zatrudnienia w tak wielkim wewnętrznym życia swego świecie. Ojciec wieszcza, ile się zdaje wyznania katolickiego, z początku sprawował urząd nadrządcy i aldermana w Stratfort, a potém prowadził kupiectwo wełną i był rzeźnikiem. William, syn najstarszy z dziesięciorga dzieci, bawił się rzemiosłem swego ojca. Mąż ten, któremu poźniéj Melpomena swój sztylet powierzyła, zarzynał wprzódy cielęta, nim zaczął zabijać tyranów, i miewał wzniosłe przemowy do widzów niesłusznego zabójstwa, dokonanego na tych niewinnych źwierzętach. Szekspir w młodości swojéj staczał z pijakami Bidfordu walki na kufle piwa pod tą jabłonią, która teraz tak słynną została. W 18stym roku ożenił się z Anną Hathaway, córką pewnego dzierzawcy, która o siedem lat starszą była od niego. Z nią spłodził najpiérwéj córkę, potém bliźnięta, chłopca i dziewczynę. Ta płodność małżonki ani go przywiązała, ani wzruszyła; zapomniał o niéj tak prędko i tak zupełnie, że dopiéro wtenczas sobie przypomniał, gdy robiąc testament, zapisał jéj nawiasowo swoje drugie łóżko.

Z powodu zabicia sarny w cudzym źwierzyńcu, musiał opuścić rodzinne miasto. W kniei sir Thomasa Lucy na gorącym schwytany uczynku, został przez niego przed sąd pozwanym, za co się też na nim satyryczną zemścił balladą, którą przybił mu na bramie pałacu. Nie prędko ukoiła się zawziętość Szekspira; sir Thomas Lucy służył mu za wzór do sędziego pokoju: *Schaal*, który w drugiéj części Henryka IV. wystawiony jest na cel pociskom dowcipu *Falstafa*. Z powodu tych niesnasek z sir Thomasem Lucy widział się być zmuszonym Szekspir opuścić Stratford, i udał się do Londynu szukać szczęścia swego.

Lecz nieszczęście, i tam za nim poszło. Nie mając innego sposobu do utrzymania życia, musiał przy wnijściu do teatru trzymać konie znakomitych panów; na ten cel utworzył towarzystwo sprytnych posługaczy, którzy otrzymali nazwę: Chłopców Szekspira. Z przede drzwi teatru wśliznął się on za kulisy, gdzie sprawował naddozór porządku. Jeden z jego krewnych, Green, który na teatrze *Black-Friar* grywał, wyprowadził go z po za kulis na scenę, i tak z aktora, stał się poetą. Mnóstwo rzucono przeciw niemu krytyk i pamfletów, na które wszakże nigdy nie odpowiadał. W trajedyi Romeo i Julia sam wystąpił w roli *brata Lorenza*, a w Hamlecie odgrywał przerażająco ducha. Wiadomo jest, jak on w tak zwanym klubie *Syren*, założonym przez sir Waltera Raleigh, z Ben Johnsonem walczył na ostrze dowcipu. Nic więcéj nie wiémy o jego teatralnym zawodzie; postępy jakie czynił na téj drodze, są tylko napiętnowane arcydziełami, których dwa lub trzy, jenijusz jego co roku stwarzał — *bis pomis utilis arbos* — i o które wcale nie dbał. Na tych płodach mistrzowskich nie kładł nawet swego wielkiego imienia, chociaż takowe umieszczać kazał w spisie dawno zapomnianych komedyjantów, i w sztukach granych, które od dawna poszły w zapomnienie. Żadnéj nie

zadawał sobie pracy w zbiéraniu własnych dramatów, i w wydrukowaniu onych; potomność, o któréj nigdy ani pomyślał, wydobywała takowe ze starych *repertoarów*, podobnie jak wygrzebują szczątki posągu Fidyjasza z pod rumowiska nie zasługujących na pamięć posągów szermierzy olimpijskich.

Dante bez wszelkiego skrupułu sam mieści siebie w rzędzie wielkich poetów: *Vidi quattro grand ombre a noi venire*; Tasso mówi o swojéj nieśmiertelności; równie i drudzy to czynią. Sam tylko Szekspir nic nie mówi o sobie, o swojéj rodzinie, o swoim synie, o dwóch córkach, o ojczyznie swojéj, o dziełach, o sławie. Może być, że on nié miał w sobie uznania swego własnego jeniuszu, lub że go za mało cenił; słowem, zdaje się, że nie wierzył w pamięć u potomności: »O nieba!« woła jego Hamlet, »dopiéro dwa miesiące temu, jak umarł, a jeszcze nie zapomniany!« Tym sposobem spodziéwać się należy, że pamięć wielkiego jenijuszu przynajmniéj o pół roku życie jego przeżyje. Ale niechże zawczasu kościoły stawia, bo inaczéj zaginie, i nikt o nim nie wspomnié!«

Szekspir, doszedłszy lat pięćdziesięciu, opuścił bez żadnéj przyczyny zawód teatralny, właśnie wtedy, kiedy jenijusz jego blask i powodzenie otaczać zaczęły. Zresztą nié mamy potrzeby wyszukiwać nadzwyczajnych powodów, jakie zmusiły go do porzucenia sceny; ile się zdaje, ten niedbający o poklaski aktor usunął się wtenczas, kiedy już choć w części w niezawisłym postawił się bycie. Zwykle się zdarza, że koniecznie chcemy sądzić o charakterze męża z przymiotowości jego talentów, i nawzajem, o przymiotowości talentów z charakteru męża; lecz lubo człowiek i talent jego częstokroć oddzielnie od siebie stoją, z tém wszystkiem, nie ustaje między nimi powinowactwo i jednogatunkowość tworzywa. Któryż Szekspir najpodobniéjszy do siebie? czy Szekspir wieszcz i pisarz trajedyi, czy Szekspir w życiu prywatném? Obaj są sobie podobni, i tajemnym węzłem przyrody z sobą spojeni. Któż wié, jak się ma ciało do ducha, i odwrotnie?!

Lord Southampton był przyjacielem Szekspira; jednakowoż nie widzimy, aby mu coś wielkiego w życiu wyświadczył. Elżbiéta i Jakób I. względami zaszczycali poetę, chociaż widocznie, nim gardzili. Powróciwszy do rodzinnego domu, zasadził piérwszą morwę, jaką widziano w obwodzie Stratford. Umarł on 1616 w Newplace, swojéj wiejskiéj zagrodzie. W dniu 23. kwietnia r. 1564 urodził się, i tenże sam dzień, t. j: dzień 23. kwietnia, w którym na świat przyszedł, zabrał go w r. 1616, i uniósł przed majestat Boga. Pochowany pod głazem w kościele Stratfordskim, otrzymał za nagrobek czarno i czerwono pomalowany posąg, który, jak święty jaki, był w framudze posadzony, i który poźniéj dziad mistressy Siddons kazał na nowo pomalować, a potém jeszcze Malone gipsem otynkował. Od wielu lat w grobie wieszcza pokazała się duża rozpadlina; kościelny, który miał dozór nad grobowcami nie znalazł ani kości, ani trunny: same tylko zostały popioły; a byłoto nie małą rzeczą widziéć popioły Szekspira, bo poeta w nagrobku swoim zabronił, aby nie tykano popiołów jego. Miłośnik spokoju, ciszy i samotności, znając śmiészną cześć i ciekawość, jaką wznieca po śmierci jenijusz, który doznawał obojętności za życia, myślał przezto zastawić się wstrząśnieniu, wrzaskom i świetnéj wystawie w przyszłości. Cały żywot i skon tego nieśmiertelnego męża zawiéra się w tych oto szczątkach: »Domek ubogi na wsi, morwa, latarnia, któréj poeta-aktor używał grając *brata Lorenza* w »Romeo i Julii,« niezgrabny, chłopski portret, i na pół otwarty grób.«

Castral, protestancki duchowny, nabył domek Szekspira w Newplace; niegościnny i nieludzki ten człowiek oburzał się na częste pielgrzymki, odbywane do świątyni pamiątek wielkiego męża, i kazał ściąć morwę, a poźniéj dom rozebrać, z którego sprzedał materyjał. W r. 1740 Angielki wzniosły Szekspirowi pomnik marmurowy w Westminsterze; tym sposobem cześć oddały poecie, który tak lubił kobiéty, i który w Cymbelinie powiada: »Anglija jest gniazdem łabędzi na wielkim stawie.«

Byłże Szekspir kulawym jak lord Byron i Walter-Scott? Uszczypliwe satyry, którémi hydzono go za życia, nic o podobnéj nie spominały ułomności, któraby przecież na scenie była widoczną. *Lame* da się równie zastosować do ręki jak do nogi: *lame of one hand. Lame* w ogólności znaczy niedoskonały, wadę mający; i w tém znaczeniu

używa się przenośnie. Bądź co bądź, *boy* (chłopiec) stratfortski bynajmniéj się nie wstydzi, jak *Childe-Harold*, swojéj ułomności, a co więcéj nawet, odważa się sam nadmieniać o tém swojéj kochance, gdy opisując siebie mówi, że jest *lame by fortune's dearest spite*, (kulawy przez najdroższe szydertwo losu).

Szekspir byłby musiał miéć wiele miłostek, gdybyśmy na każden sonet, jednę policzyli, w ten sposób licząc, wypadałoby sto pięćdziesiąt cztéry. Sir William Davenant szczycił się, że był synem pięknéj gospodyni, serdecznéj przyjaciółki Szekspira, która miała gospodę *pod korona* w Oxfordzie. Poeta w swoich drobnych odach źle się swoim kochankom wypłaca, i często przedmiotom swego ubóstwienia gorzkie tnie prawdy. Czasami robi sobie wyrzuty, lecz czyli on skrycie na swoje obyczaje narzéka, lub czyli uskarza się na małą cześć, jaką oddawano mu za życia, tego nie można z pewnością powiedziéć. »Imię moje napiętnowane,« powiada on. »Przez litość życzcie mi, abym się odrodził, podczas gdy ja, dobrowolnie chory, pić będę lekarstwo na zepsucie moje.« A znowu inną razą: »Nie mogę się wyspowiadać przed tobą, lękam się, aby moja opłakana wina nie okryła cię wstydem. A ty, ty mię bez wydarcia sławy swemu dobremu imieniowi nie możesz żadną otwartą zaszczycić łaską.«

Niektórzy komentatorowie Szekspira wyobrażali sobie, jakby poeta miał myśl płody swoje przypisać w hołdzie królowéj Elżbiécie, albo lordowi Southampton, i że w sonety swoje symboliczną wprowadził kochankę. Nic nie było pospolitszego w 16stym wieku jak ten uczuciowy mistycyzm i to nadużycie alegoryi. Hamlet mówi o Joryku jakby o kobiécie, gdy grabarze jego czaszkę wyrzucili: »Ach, biédny Joryku! ja go znałem Horacio; byłto chłopiec niepojętego humoru, pełen wybornych pomysłów i rzadkiego dowcipu... tu wyrastały te usta, którem całował, a nie wiém ile kroć razy.« Za czasow Szekspira obyczaj przy uściskach miłosnych całować się w usta, nie był jeszcze znany. Hamlet to samo mówi do Joryka, co Małgorzata Szkocka mówiła do Alana Chartier. Wreszcie niech kto jak chce wierzy, zdaje się, iż wiele sonetów pisanych jest do kobiét. Igraszki dowcipne psują w nich potok uczuć erotycznych; ale tego potoku harmonija uzyskała autorowi przezwisko: Wieszcza ust miodowych. Twórca *Desdemony* i *Julii* nie przestawał kochać się nawet i w starości swojéj. Byłaż ta nieznajoma, do któréj tak miło-wdzięczne wiérsze pisze, szczęśliwą i dumną z tego, że Szekspir obrał ją za przedmiot swoich sonetów?

Rzeczto bardzo wątpliwa, sława albowiem tém jest dla starego mężczyzny, czém diamenty dla staréj kobiéty; mogą ją wprawdzie przyozdobić, lecz nigdy piękniéjszą uczynić. »Możesz,« mówi on, »widziéć we mnie tę porę roku, w któréj jeszcze kilka zwiędłych listków, na każdy powiew wiatru drżących, trzyma się na gałązce; same nagie, z liścia obnażone gaiki, w których przed nie dawnym czasem drobni świérgotali ptaszkowie. Widzisz we mnie połysk ognia, który na popiele młodości, jakby na łożu śmierci gaśnie, i trawiony od tego, co go ożywiało, zamiéra. Patrząc na to, miłość twoja powinnaby stać się gorliwszą w kochaniu tego dobra, które tak rychło utracić tobie przyjdzie.« I znowu w innéni miejscu: »Jeżeli umrę, proszę was, nie opłakujcie mię długo; usłyszycie dzwon z wysokiéj wieży żałobnym ogłaszający jękiem, że już z tego świata zeszedłem, na którym ze złémi wiérszami tak źle się mieszkało. Czytając tych kilka wyrazów, zapomniéjcie o ręce, która je kreśliła; tyle was kocham, iż chętnie chciałbym z waszéj słodkiéj pamięci na zawsze zostać wymazanym, jeżeliby wspomnienie o mnie, miało was nieszczęśliwymi uczynić. Jeżeli rzucicie spojrzenie na te wiérsze, kiedy już garstką prochu będę, o! nie wspominajcież nawet mego biédnego nazwiska, niechaj miłość wasza wraz z mojém życiem zwiędnie!«

W tych wiérszach daleko więcéj jest poezyi, imaginacyi i melancholii, niż tkliwych wzruszeń namiętnego zapału i głębokości. Szekspir kocha, lecz równie w miłość, jak w inne rzeczy nie wierzy; kobiéta jest dla niego ptakiem, tchnieniem, kwiatkiem; jest dla niego czémsić, co nagle zachwyca, ale i prędko przemija. Czy nie dbający o sławę swoję, czy nie umiejący się poznać na niéj, wyłączony przez stan swój ze społeczeństwa znakomitego znaczenia, widząc przed sobą najpiękniéjsze nadzieję, a nigdy nie osiągnięte, widząc ubóstwienie zbyt rzeczy marnych; zdaje się uważać życie, jako przelotną, leniwą godzinę,

jako lekkie *dolce far niente*. Istotnie, poeci więcéj daleko są sprzyjający wolności i muzom, niż swojéj kochance; papież dawał pozwolenie Petrarce, które uwalniało go od ślubów duchownych, które łączyło go z ubóstwioną Laurą; lecz Petrarka na tak uprzejme względy jego Świętobliwości, odpowiedział bardzo zwięzle: »Mam jeszcze wiele sonetów do napisania.« Szekspir, ten duch traiczny, czerpał swoję surowość z wyszydzenia i pogardy siebie samego i ludzkiego rodzaju; o wszystkiém wątpił; *perhape* (może) jest słowem, które najczęściéj ma na ustach. Podobnie i Montaigne po drugiéj stronie morza zawsze, i zawsze powtarza: »*Peut-être, que sais-je?*«

Słowem, Szekspir należy do liczby pięciu lub sześciu autorów, którzy sami wystarczają tyle dodać materyi i pożywienia myśli, ile tylko ta potrzebować może; te płodne, macierzyste jenijusze, zdaje się, iż zrodziły i wyżywiły wszystkie inne. Homer zapłodnił całą starożytność, Eschylus, Sofokles, Euripides, Aristofanes, Horacy i Wirgil są jego synowie; Dante, zacząwszy od Petrarki aż do Tassa, stworzył nowsze Włochy; Rabelais dał życie literaturze francuzkiéj, Montaigne, Lafontaine i Molier winni mu swój wzrost i początek; Anglija ze wszystkiém jest dzieckiem Szekspira, w najnowszych jeczcze czasach Byron odziedziczył po nim język, a Walter-Scott jego dialog. Zdaje się, iż jenijusze są słońcem, w które wtedy dopiéro patrzéć możemy, gdy już nam znika!

Częstokroć zdarza się, iż nie chcemy nic o tych wielkich mistrzach wiedzieć, buntujemy się przeciw nim, wyliczamy ich błędy, zarzucamy im nudotę, niedorzeczność, brak dobrego smaku, i rozwlekłość, a tymczasem okradamy ich, i stroimy się w ich pióra; lecz nadaremnie zżymamy się na jarzmo tych mistrzów, których wszystko nosi i barwę i piętno; onito wynajdują wyrazy i oznaczenia, które powszechny słownik ludów wzbogacają; ich sposoby mówienia, zwroty, przypowieści zamieniają się w przysłowia; ich zmyślone, utworzone charaktery przybiérają postać rzeczywistych osób, z krwią i ciałem, i przenoszą się na dzieci i wnuki. Oni rozprzestrzeniają widzenia ognisko, z którego wytryskują nowego światła promienie; oni zasiewają ziarna myśli, z których się tysiące innych rozradzają; oni wszelkiemu umnictwu użyczają ideów, form i kształtów. Dzieła ich są niewyczerpanémi kopalniami, albo raczéj wnętrznościami ludzkiego ducha!

Takowe duchy zajmują pierwsze stanowisko; ich rodzima tworczość, wielostronność, nieograniczoność, różno-ksztatna płodność, nadają im piętn i modeł pojęć rozmaitych, podobnie jak tylko cztéry lub pięc ras ludzi, są jedynym szczepem, z którego inne idą jako odcienia i rozliczny rozrost odgałęzień. Strzeżmy się te potężne istoty potępiać za słabości, w które częstokroć wpadają; nie naśladujmy przeklętego Chama; nie naigrawajmy się, jeżeli spotkamy w cieniu arki pod górami Armenii, w nagości i we śnie piérwszego i jedynego żeglarza po wodach przepaści.

ŻEBRAK.

Wstrzymaj krok spieszny dobra, piękna pani,
Żebrak cię błaga, drzącą dłoń wyciąga;
Zimne spojrzenie serce moje zrani,
Piękność, nieszczęściu nigdy nie urąga!

Łza nie przygasi ognia w twojém oku,
Łza spółczucia ucieszy anioła;
Gwiazdę przyćmioną w dészczowym obłoku
Bóg nowym ogniem rozjarzyć wydoła!

Niegdyś w dostatki, w uczucia bogaty,
Byłem szczęśliwym; dziś żebrak już stary,
Nie płaczę marnych bogactw mych utraty;
Chciej, bym nie płakał utraty mej wiary!

Jam kochał ludzi, w sercam ludzkie wierzył;
Lecz gdy nieszczęścia godzina wybiła,
W najtkliwsze czucia serca grom uderzył;
Wtenczas i wiary gwiazda się zaćmiła!

Dla mnie już dzisiaj tak mało potrzeba!
Śmierć skrzętna, ciche gotuje mieszkanie;
Daj mi na podróż jeszcze kawał chleba,
Żebrak z tym chlebem na sąd straszny stanie!

Z wieńca twych uczuć uszczknij jeden kwiatek,
Kwiatek niezwiędły, bliźniego miłości;
Święcie przechowam w sercu serca datek,
Tobie go oddam u progów wieczności!

KAROL ANTONIEWICZ.

ZAŚLUBINY WESSELENIEGO.

Scena z dziejów madiarskich.

Byłto r. 1645. Jerzy Rakocy, książę siedmiogrodzki, wszedłszy w skryte przymierze ze Szwedami, szukał pozoru uprawnić swoje

zamysły przeciw cesarzowi Ferdynandowi. Najlepsza ku temu posłużyła mu sposobność. Szło siedmiogrodzkim protestantom o zachowanie ich dawnych praw i swobód. Rakocy narzuca się w tym sporze za rozjemcę. Ferdynand wiedział dobrze, co ten naczelnik rokoszu w swych zamysłach warzył; odrzucił wszelkie przełożenie i pośrednictwo. Ztąd miał Rakocy pochóp do otwartego kroku; wydał manifest wojny, w którym się obrońcą wiary wyznania swego ogłosiwszy, wezwał wszystkich jednowierców do dzielnego wspiérania wspólnéj sprawy. Ile butny i dumny, tyle chytry i oględny, wiedział dobrze, iż słowa nie kaléczą, i chciał im dać wagę rzeczywistą. Jakby na uderzenie rószczki czarodziejskiéj stanął mu w rozkaz poczet 20,000 wojska; z nim wszedł w kraj węgierski piérwéj, aniżeli przeciwnicy jego o tém i pomyślić mogli. Przed nim biegł przestrach i zwycięztwo, za nim niewola i zdumienie. Umiał korzystać z obojga, i już był panem znacznéj części Węgier. Ferdynand, tocząc bój krwawy ze Szwedami w Niemczech, nie mógł na razie wysłać przeciw niemu piorunu, któryby go strzaskał; lecz aby mu jakiśkolwiek na wstępie stawić opór, tego nie zaniedbał.

Jakkolwiek walecznym był ów poczet pod mężnym naczelnikiem wojewodą Esterhazym, nie mógł on wszakże przemocnéj sile rokoszanów podołać, ani zabiedź poddaniu się wielu zamków, które zaledwie obieżone i ściśnięte, już się na łaskę zdawały Rakocego. Nawet Murany, zamek najwarowniéjszy w części górnych Węgier, dziedzictwo Maryi Szetsi, wdowéj po Stefanie Bethlen, otworzył swoje bramy, i przyjął osadę jego. Poznał Rakocy ważność tego mocnego miejsca i dał mu w obronę wybór swego wojska. Więcéj jeszcze aniżeli na nim, polegał on na rzadkich przymiotach Maryi Szetsi, prawdziwie bohatérskiego, nieustraszonego ducha niewiasty, która pod żadnym warunkiem, jak tylko pod tym jedynie, że sama w swojéj osobie zadzierży komendę nad osadą, poddała mu zamek.

Byłato najstarsza córka Jérzego Szetsi, największego swoich czasów bohatéra, która odziedziczywszy rzadkie przymioty ojca swego, wyszczególniała się oraz najpowabniéjszémi wdziękami kobiéty. Jak się we wstędze Irydy wszystkie najpiękniéjsze łączą kolory, tak się w téj dostojnéj niewieście z zaletami płci pięknéj, połączały zalety bohatérskie.

Esterhazy, któremu na odzyskaniu tak stanowczego miejsca, jakiém były Murany, wiele zależało; wysłał pod ich mury znaczny oddział wojska, pod wodzą Franciszka Wesseleniego, młodzieńca wielkich nadziei, który miał już za sobą sławę nie tylko waleczności osobistéj, ale i dowody nie małéj wiadomości w kunszcie wojennym, i który téż poźniéj doszedł stopnia wojewody. »Chociażby z największą ludzi stratą, byle zamek odebrać!« taki był surowy rozkaz hetmana. Tak śmiałą wyprawą zaszczycony, pełen otuchy w zwycięstwo, podsuwa się Weseleni z walecznym pocztem swoim pod twierdzę; widzi działami najeżone strzelnice, widzi nawet niepodobieństwo wdarcia się na mury, lecz to go bynajmniéj nie ustrasza; tém bardziéj, iż wié, kto w twierdzy przewodzi. »Kobiéta!« mówi z uśmiéchem sam do siebie, »przecież ta Amazonka nie będzie dla mnie tak straszną!« — Już przebyto rowy, przekopy, przełamano zasieki, już twierdza ciasno opasana; ale nadaremnie: jeszcze się trzyma, a co większa, na wezwanie do poddania się, z szyderstwem odpowiada. Trzy szturmy idą jeden po drugim, a zawsze je odpiéra grot śmiertelny; trupem już usłane podnóże murów, ale jeszcze na ich szczytach, jakby urągając się niedołężności oblężeńców, powiewa dumnie chorągiew przeciwniczki. Jarym gniewem spłonął młody bohatér, widząc się w sztuce wojennéj od kobiéty zawstydzonym. Już powątpiéwa o skutku swojéj wyprawy, już w nim gaśnie najbledszy promyk nadziei, już chce odwieść krwawą pracą wycieńczone, i śmiercią przerzedzone wojsko swoje, gdy go nagle wstrzymuje pomysł, prawie jakby z nieba zesłany. Ucieszony tém natchnieniem stara się bez zwłoki przywieść je do skutku. Wysyła posła do Maryi z prośbą, aby przyzwoliła do dania zasłony z ludzi swoich, pod którąby jednemu z podwładnych jego wolno było stanąć przed nią osobiście, i miéć u niéj posłuchanie, przez któryto czas mają ustać kroki nieprzyjacielskie. Obie prośby były przyjęte, a Wesseleni, który sam na siebie wziął rolę posła, stanął w naczelnym przed-dworzu twierdzy przed piękną Amazonką. Jakież było jego zachwycenie, gdy ujrzał swego groźnego nieprzyjaciela naj-

powabniejszémi wyposażonego wdziękami! Długo trwała rozmowa, którą przewlekał umyślnie, aby oczy swoje napieścił wdziękami, jakich mu widzieć w życiu się nie zdarzyło; długo ją nakłaniał do poddania zamku najwyszukańszą wymową, na jaką się tylko zdobyć zdołał; ale gdy widział, że wszystkie jego usiłowania daremnémi były, że Maryja tym większym gniewem płonęła, im więcéj ktoś przez wystawienie niebezpieczeństwa mógł ubliżać jéj męztwu; uciał nagle rozmowę, oddał zapieczętowane pismo, jakby mu od naczelnika powierzone, prosił o niezwłoczną odpowiedź, i oddalił się z największym pospiechem. Któż skréśli zadziwienie Maryi, gdy list otworzywszy, wyczytała, iżto był sam Wesseleni, który z nią mówił, że nie mogąc się oprzéć ciekawości widzenia z blizka tak rzadką i tak mężnego serca kobiétę, tego się musiał chwycić podstępu; że będąc zachwyconym rzeczywistém obliczem tego najsłodszego i najspanialszego obrazu, któryby jego najśmielszą, najwyszukańsza zawstydził fantazyję; nie mógł się wstrzymać od téj zuchwałéj śmiałości, aby takiemu bóstwu na dozgonny związek w rozkoszne niwy rajskiego pożycia, nie ofiarował i serca i ręki. Łatwo sobie wyobrazić, jaką mocą taka nadspodzianość uderzyła w duszę Maryi; byłoto coś nadzwyczajnego, coś, co mimo woli i chęci wkradało się przyjazno do serca kobiéty; byłto krok rzadki pięknego, śmiałego, wojennego młodzieńca, za którym mówiły czyny rycérskie, mówiła rzetelna sława; byłto przedmiot największéj dumie godny rozwagi. Wzięła to na myśl i serce dostojna Maryja Szetsi; długo się chwiała w postanowieniu przedsięwzięcia; nakonicc w te odpowiedziała słowa: »Otrzymałam pismo; jeżeli pisarz wyrazów w niém zawartych życzy sobie miéć odpowiedź, niechżo po nią sam się stawi. Jeżeli ma odwagę, a zamysły jego są rzetelne, ujrzy on o północy w stronie od zachodu oświetlone okno, a pod niém znajdzie na murze sznurową drabinę, która zaprowadzi go w to miejsce, gdzie go czeka losu roztrzygnienie.« Słońce spuszczało się z błękitu; już się zmrok po namiotach obozu rozścielał, gdy odgłos trąby z bramy zamkowéj zapowiedział posłańca; z drżeniem serca patrzył Wesseleni na przybliżający się ku jego namiotowi znak biały w powietrzu wiejący. Zaledwie pismo odebrał, i posła odprawił, już i postanowił, co ma uczynić. Jednemu tylko, najwierniéjszemu z swoich towarzyszy, zwierzył się tajemnicy, i dawszy mu na przypadek nieprzywiedzianéj przygody dokładne rozkazy, oddał się pieściwym obrazom, oddał się nadziei słodkiéj przyszłości. Dawno już noc głucha objęła ziemię swojémi czarnémi ramiony, dawno już wrzawa obozowa uspiła się dzienném strudzeniem, i tylko gdzie niegdzie przy ognisku drużyny skupionéj odzywał się jeszcze gwar oddalony i gdy wódz, niepokojony ciężkiém oczekiwaniem godziny oznaczonéj, powstawszy z łoża, puścił się w stronę, która miała mu rozwiązać węzeł jego przeznaczenia. Jak owa mdła gwiazda, która bladym promieniem z mgławego miga nam obłoku, podobnie jęło łyskać światełko przez szyby okna, od zachodnéj strony na skalistym zamku, który w téj stronie właśnie miał ścianę najbardziéj stromą i pod pion uciosaną, a fosę straszliwie przepaścistą. Nie mógłby się nie wzdrygnąć acz najśmielszego ducha, ktoby kolwiek tę ze sznurów powiązaną, i nad taką przepaścią chwiejącą się był ujrzał ścieżkę. Nie wesołém okiem spojrzał na nią i nasz wódz odważny, lecz wstydził się nie skończyć drogi, którą raz rozpoczął. Znalazłszy ułatwiony sposób spuszczenia się w dno fosy, śmieléj już dźwigał się w górę po chwiejących szczeblach ku oknu, które przymknione tylko zastawszy, spiesznie przeskoczył. Ujrzał się w pustym, ciemnym, od jednéj lampy słabo oświéconym gmachu. Ledwie co tylko na podłodze stanął, już się i uczuł z tyłu przemocnie pochwyconym i silnémi ramiony obalonym na ziemię. W téj saméj chwili obskoczyło go wielu zamaskowanych, wydarto mu, co miał ku swojéj obronie, oręż, pistolety i sztylet. Nakazano mu najsurowiéj milczenie, i zagrożono śmiercią, gdyby się jedném słowem odezwać poważył. Ileż nie miał sobie do zarzucenia Wesselini, że się tak płocho podał téj przygodzie; lecz już było za późno wymotać się z sidła. Przez małe drzwi uboczne zaprowadzono go do nizkiego, ciasnego sklepienia, z którego zgniłe, zaraźliwe wionęło powietrze. Nie długo trwało, a jakiś wysokiego wzrostu starzec, stanąwszy przed nim, odezwał się ponurym, odmierzonym głosem w te słowa: »Miejsce, w którém się uwięzionym widzisz, powiada ci dokładnie jak wielką jest moc tego, w którego ręku zostajesz, jednakże wolność, bogactwo, a nawet najsłodszy wdzięk miłości będzie twym udziałem, skoro się zrzekniesz walczyć za sprawę króla, a przejdziesz na stronę tych, którzy walczą za dobro i swobodę siedmiogrodzkiéj ziemi. Nim ta noc, która teraz z dniem spór wiedzie, o jedne godzinę się postarzeje, czeka ciebie śmierć śród mąk najokropniéjszych, jeżeli się w posłuch mego przełożenia nie skłonisz, i dłużéj opiérać będziesz.« — »Wstyd wam, hańba i przekleństwo, potajemni mordercy!« zawołał Wesseleni z oburzeniem, »wyżto mię śmiercią zastraszyć mniemacie? Nie mając serca rozpiérać się ze mną orężem na polu sławy, milszaż wam była zdrada, podłe nikczemniki! lecz nadaremne są wasze prace i zabiegi; przysięgi królowi nie złamię, a śmierć najokropniéjsza nie skłoni mię do kroku, który hańba piętnuję.« — »Rozważ, co czynisz! Masz

godzinę czasu;« rzekła grobowym głosem postać i w téjże chwili zniknęła skrytémi drzwiami, wraz z zamaskowanémi. Prędko ubieżała naznaczona godzina. Trzasnęły rygle, wrzeciądze więzienia zaskrzypiały, żelazna fórta otworzyła się na oścież, a weszła nią taż sama wysoka postać. »No, jakże? jużeś się namyślił?« rzekła. Wesseleni spojrzał z pogardą, i nic nie powiedział. Długo jeszcze trwała namowa, lecz nie zdołała ugiąć twardego umysłu bohatéra. »Krnąbrny zaślepieńcze! sameś śmierci swojéj sprawcą; umiéraj!« — »Umiéraj!« ozwał się głos wielu, i odbił od sklepienia, które się napełniło ludźmi zbrojnymi; pośród nich pókazał się okropny człowiek w czerwonym płaszczu z mieczem obosiecznym, po którym płynął krwawy blask od gorejących pochodni. Wesseleni spojrzał i domyślił się o co chodziło. Ukląkł, i poleciwszy w krótkiéj modlitwie duszę Bogu, zbliżył się ku owemu strasznemu mężowi: »Oto jestem, skończ spieszno dzieło swoje!« Ledwie te słowa wyrzekł już czarne opony więzienia wionęły, a przepyszna, laurami uwieńczona, otoczyła go sala; śród niéj na złocistém krześle, jakby ona bogini czarodziejskich krain, siedziała dziedziczka zamku, Maryja Szetsi. Powstawszy, zbliżyła się do zdziwionego Wesseleniego z pocztem pań urodziwych, które ją, jak swoją królową wieńcem otaczały, i rzekła w te słowa: »Wytrwałeś mężnie i prawdziwie po rycérsku. Godzieneś, abym ci największe dobro, wolność swoję, poświęciła! Tylko mąż duszy wielkiéj mógł się poważyć żądać ręki mojéj; dla tego musiałeś mi złożyć dowód większéj odwagi, aniżeli jéj na polu sławy wymagamy; tylko mocniéjszemu mogło się poddać serce moje. Oto jest ręka moja; z nią oddaję ci i serce, i władzę nad zamkiem Murany.« Odgłos trąb i okrzyk radosny zbrojnych ozwał się na te słowa, a Wesseleni w nadmiarze radości rzucił się do nóg i ucałował podaną sobie rękę Maryi Szetsi. Nim jeszcze dzień biegu swego dokonał, już ich złączyły śluby małżeńskie, już i twierdza Murany, poddała się wojsku królewskiemu.

Rękopisma Zelizów z wieku 6go — 11go. W roku 1798 Jan Andrault de Buy Antosewicz odkrył w powiecie bałtskim nad Dniestrem, z wołoskiéj strony, przeciwko wsi Popenek blizko Zozulan, pieczarę w skale nadbrzeżnéj wykutą, w któréj mieszkali mnisi *Czerncy*, a między nimi poznał jednego imieniem Zacharyjasza, od którego dostał rękopisów, pisanych starym charakterem sławiańskim, na pargaminie zbutwiałym. P. Antosewicz, wyczytawszy takowe, użył wyczerpniętych z nich wiadomości do napisania książki: *Obrona Kadłubka i Długosza, szanownych dziejopisów polskich, pezeciwko wieku 18go krytykom.* Rekopis ten zawiera około 20 arkuszy, co do treści jest diatribą przeciw usiłowaniom krytycznym Bandtkiego i Schlötzera, lub w ogólności wszystkich, którzy bajecznym dziejom Kadłubka i Długosza zaprzeczają. Wartość pisma p. Antosewicza pod względem literackim jest bardzo mała, ciekawe zaś są tylko te wiadomości, które powyjmował z prawdziwych, czy apogryfowych pism trzech Żelizów. Przytaczamy tu krótki wyimek z Antosewicza o tych autorach rękopisma: »Żelizo, wojewoda komenderujący legiją Lechitów w oznaczonym sobie Tyrangitów po nad Dniestrem wydziale, posiadający umiejętność pisania po sławiańsku, zostawił ślad wiadomości w ułamkach, o przejściu Wandalów do Włoch pod komendą Gąsiorka (Gensericus), o przybyciu Lecha ze Sklawonii do kraju sarmackiego, o synach jego i wnukach, o narodach familijnych w rozległéj Sarmacyi zamieszkałych, o narodach ościennych w Litwie, w Dacyi i Rusi osiadłych i t. d.; zwięźle pisał do r. 750. Pismo to w domu Żelizów ukrywane było przez lat 278. Ostatni potomek Żelizów dzieje te doprowadził do r. 1028, w którym tytułował się książęciem halickim.« P. Antosewicz w dziele swojém często przywodzi jeszcze rękopis Żelizów, w którym, jak się każdy domyśli, nieskończone muszą być bajki i brednie, kiedy nimi znane bajki naszych kronikarzy poprzéć usiłuje. W przytoczonych miejscach dosłownie z rękopisu, język wcale nie jest stary, młodszy nie tylko od Nestorowego, ale i od poźniéjszych latopisców. Na dowód, zjawienie się aniołów Piastowi tak opisuje Żelizo współczesny: »*I rekli lude, da Jessan i Zezylla był w chatu jeho..... da wirno diło Bohow jawiłos!*« Opiekują się nim Jessau i Zezylla, od których w posły przysłani Pochwist z Pasturkami. »*Nasz kormitel Piast naszym zaszczytnikom, hospodynom i kniezem budet;*« potém okrzykuje go: »*Ty nasz kniaż, żyw bud' na wiki!*« Z wszystkiego pokazuje się, że ten rękopis jest poźniéjszą mnichów fabrykacyią, i że p. Antosewicz ślepo weń uwierzył. (W. i roz. n.)

Bekfark. Do ozdoby dworu Zygmunta Starego należał Bekfark (inaczéj piszą Bekwark), sławny muzyk na lutni. Byłto osobliwszy talent w swoim zawodzie, dostąpił też zaszczytu nie małego, bo imię jego w przysłowiach krajowych dwa z górą wieki przetrwało. »Nie każdy wezmie po Bekfarku lutnię.« Takie powstało po jego zgonie przysłowie, które S. Rysiński w swoim zbiorze zachował. Krzysztof Falibogowski następną nam o nim wiadomość podaje: »Przydam o onym sławnym »lutniście Bekfarku, o którym jest ona przymówka: Nie »bierz po Bekfarku lutni. Ten miał też swój taki oby»czaj; nigdy, kiedy go proszono, aby swéj muzyki wdzięcz»nością, ludzi rozweselił, nie był chętny. Mieli naú »jednak ten fortel: wziął kto lutnią w rękę, i grał co »umiał, aby Bekfarka draźnił; czego on słuchając i zży»mając się, jako dobry muzyk, iż nie dosyć czynił owemu, »lutnią wziął w rękę, abo swoję podać kazał; dosyć »ludzkiéj wtedy uczynił chęci.« On lutnią rozweselał smętne godziny Zygmunta Starego; a Bona zwała go swoim Amfijonem. Z lutnią też w ręku umarł. Wśród dnia gorącego w południowéj dobie w swojéj komnacie przygrywał na lutni i spiéwał; nagle głos jego ustał, nie skończył zaczętéj pieśni, bo zamarły słowa w osiniałych ustach, a lutnia jego piérwszy raz niesforne wydawszy tony, z martwych wypadła ręku. Tak skończył ten wielki muzyk, podziw współczesnych, śmiercią zaiste łabędzią, bo w konaniu, uczucia serca wiernéj powierzywszy lutni zamarł śpiéwając. Jan Kochanowski pamiątkę jego we Fraszkach zachował:

»By lutnia mówić umiała,
»Takby nam w głos powiedziała:
»Wszyscy insi w dudy grajcie,
»Mnie Bekfarkowi niechajcie.« K.W.W.(Wianek.)

Słowo o zbiorach pieśni narodowych sławiańskich. Pod tym napisem znajdujemy w Czasopisie Czeskim krótki przegląd wyszłych w ostatnich latach zbiorów pieśni sławiańskich; przekonani, że wszelka z tego zakresu wiadomość, nie będzie obojętną czytelnikom polskim, umieszczamy ją w pismie naszém: »Pieśni gminne są niezawodnie najwybitniejszą cechą ducha narodowego; w nich, jakby w czystém strumienia zwierciadle, odbija się całe pasmo niepoliczonych zdarzeń tysiącletniéj przeszłości ludu; w nich żyją nieskażone rdzą wieków i nieuległe przekręceniom myśli, starożytne pradziadów naszych zwyczaje i ustawy, wiara i przesądy, nałogi i upodobania, w nich się objawia prawdziwa mądrość ludu; w nich myśl, czucie, dusza i serce niepokalanie przechowują swoję piérwotną czystość. Czuł mocno tę prawdę olbrzymi wieszcz polski, gdy w szczytném uniesieniu ducha te wielkiéj treści i cudnego brzmienia kreślił wyrazy. (Tu Czasopis czeski przytacza z Walenroda znane wszystkim wiersze o pieśni gminnéj.) Przed 20stu laty nie mieli jeszcze Sławianie ani jednego zbioru swych narodowych pieśni; dziś to nowe zjawisko na niwie sławiańskiego pismiennictwa tém jest milsze, i tém bogatsze plony zapowiada dla umysłu i serca, że nie jest, mówimy z prawdziwą pociechą w duszy, dażnością chwilowego upodobania (mody), ale dobrze pojętéj i zrozumianéj potrzeby. Rok 1833 był szczególniéj pomyślny dla sławiańskiego pismiennictwa, samych spiewów z tego zakresu wyszło kilka zbiorów. Wyszczególnia się przed innemi zbiór Wuka Stefanowicza Karadzicza, pod napisem: »Pieśni narodowe serbskie, część czwarta;« w Wiedniu 1833 r. Pieśni te, najsławniejsze w całej Sławiańszczyznie, przetłumaczono na języki francuzki i niemiecki; Włosi nawet mają ich wiele w tłumaczeniu. Kazimierz Brodziński przełożył z nich wiele po polsku. Herder i Göthe chlubną im pochwałę oddali i wiele z nich przełożyli po niemiecku. Drugi zbiór w tymże roku wydał Szymon Milutynowicz, pod napisem: »Spiewy czarnogórskie i hercegowińskie,« w Budzynie. Obszerniejszy od obu poprzednich jest zbiór pieśni p. Wacława z Oleska, także w r. 1833 ogłoszony, pod napisem: »Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego z muzyką instrumentowaną przez K. Lipińskiego;« we Lwowie, nakładem F. Pillera. W tymże czasie wyszło dziełko, pod napisem: »Sławianka, zbiór narodowych pieśni w Pradze,« oraz: »Pieśni kraińskie i styrskie,« wydane przez M. Achacela w Żeleńcu.« (Kr. p. n. i um.)

Anegdota o Potemkinie. Księżna Dolhoruki należała do liczby kobiet, które doświadczyły największych dowodów miłości. Sławny Potemkin, który utrzymywał, iż wyraz *niepodobna* powinien być z języka wygnany, kochał ją namiętnie i przepych okazały, z jakim w swojéj występował miłosci, przewyższał wszystko, cokolwiek czytaliśmy kiedy z »Tysiąca nocy i jednéj.« Kiedy carowa po odbytéj podróży swojéj do Krymu r. 1791 do Petersburga powróciła, został się Potemkin przy armii, dokąd wiele żon jeneralskich się zjechało. Przy téj sposobności poznał on między niémi księżnę Dolhoruki. Miała ona na imię także Katarzyna; książę w dniu jéj patronki bankiet wyprawił, niby na obchodzenie imienin cesarzowéj. Przy stole księżna siedziała obok niego. Na wety przyniesiono czary kryształowe pełne diamentów, które damom pełnemi rozdawano łyżkami; królowa balu zdawała się zwracać zdziwioną uwagę na ten przepych, a Potemkin rzekł do niéj: »Nie dziw się księżno, bo na cześć twoję obchodzimy tę uroczystość.« Każde życzenie, najdrobniejszy kaprys téj ubóstwionéj kobiety, wykonywany był przez niego z uprzedzającą gotowością. Dowiedziawszy się, że księżnie niestaje balowych trzewików, które zwykle sprowadzała z Paryża, posłał natychmiast umyślnego gońca, który dniem i nocą pędząc uskutecznił jéj żądanie. Cały Petersburg wiedział, iż Potemkin, aby mógł wyprawić widowisko, które kochanka jego życzyła sobie widzieć, kazał wcześniéj zdobywać Oczaków szturmem, niż było w planie, a co za sobą ogromne w ludziach pociągnęło straty.

Nowy rodzaj skąpstwa. Talleyrand mawiał o hrabinie C*, kobiecie nadzwyczajnie skąpéj, a przytém bardzo zalotnéj: »że tak jest skąpą, iż cudzym małżonkom się przymila, ażeby swego oszczędzić.«

Dnia 20. stycznia minister Thiers dawał w Paryżu bal bardzo świetny, na którym znajdowało się około 3000 osób. Na przyjęcie tak znacznéj liczby gości, przystrojono salę pałacu ministeryjalnego z wielkim przepychem, przytém dobudowano długą galeryję od strony ogrodu, z którą połączono gmachy wewnętrzne. Galeryja ta wybornym była przyozdobiona smakiem w bogate draperyje z niebieskiego i białego atłasu, które przy blasku żyrandolów cudowny sprawiały widok. W dwóch końcach galeryi widziano kłąby rzadkich i wonnych kwiatów, oświeconych uroczném światłem. Pośród kłąbów leżały lwy i lamparty, robione przez pa. Barie; w środku zaś sali wznosiła się orkiestra. Na drugim końcu była sala jadalna, gdzie przy niezliczonych małych i obficie zastawionych stolikach około 2,000 osób od północy do czwartéj godz. rano na przemiany siedziało. W gronie gości różnych stanów, którzy na téj znajdowali się uczcie widziano księcia Orleanu, który z powodu słabego zdrowia krótko bawił, i księcia Nemours, tańczącego bardzo wiele do późnéj nocy.

Sławny Chateaubriand znajduje się w tak smutném położeniu w Paryżu, iż, ażeby zapewnić sobie utrzymanie, tłumaczy »Raj utracony« Miltona, za co otrzymał 40,000 frank. Twórca pierwotworu angielskiego dostał w potrzebie za dzieło swoje tylko pół tuzina gwineów. Delille, który »Raj utracony« w rymach przekładał, za każdy wiersz brał talara; najnowszy zaś tłumacz sumę wyżwymienioną. — Nie dawno pewien znajomy odwiedzał Chateaubrianda, zastawszy go przy pracy, za nadto przedłużył swoje odwiedziny; w końcu dopiero postrzegł swoję nieuwagę, skłonił się i dodał odchodząc: »Powinienem wćpanu wynagrodzić moje natręctwo, za to też długi czas u niego nie będę.« — »Żlebyś wćpan zrobił,« odrzekł Chateaubriand, »albowiem jesteś dla mnie z liczby tych osób, którym z radością poświęcam godziny przeznaczone na zarobek.«

Pałac w Weronie, w którym mieszkały niegdyś familije Capuleti i Monteki, zamieniony jest teraz na gospodę dla furmanów; wprawdzie i teraz odbywają się tam walki, ale nie z nienawiści, jaką tchnęły ku sobie te dwie rodziny; a choćby się zjawił jaki Szekspir, któryby te sceny gminu malował, przecież nie znajdzie w nich ani Julii, ani Romea.

Jeden z angielskich dzienników, który chcąc dać wyobrażenie, z jaką prędkością mistress R* odpowiadała na zapytania sędziego, powiada, iż skoropis *(stenograf)* o sile dziesięciu koni nie zdołałby spisać wszystkich odpowiedzi téj damy.

Sposób mówienia *ne boj sia* (nie bój się) tak powszechnie używany jest w gminie rossyjskim, jak sól do potrawy. W Petersburgu kiedy wznoszono olbrzymią kolumnę Alexandrowską, walec używamy do ciągnienia onéj, pochwycił rękę pewnemu robotnikowi, i groził mu zupełném zgruchotaniem; co widząc obok stojący cieśla porwał za ostry topór i zawoławszy: *Ne boj sia,* jednem cięciem odciął nieszczęśliwemu rękę, i tym sposobem odcalił go od śmierci.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.